

Psycholog kazał mi śpiewać

*Jak zobaczyłem co się działo na koncertach „The Beatles”
stwierdziłem, że też tak chcę – mówi Krzysztof Grabowski – Grabaż*



Środa, 1 czerwca po południu. Siedzieliśmy w redakcji TeXT-u poddenerwowani - nikt nie wiedział czego się spodziewać po wielkiej gwiazdzie rocka. Grabaż wszedł do pomieszczenia z butelką własnego napoju (bezalkoholowego, żeby nie było), i usiadł na przygotowanym przez nas miejscu. Nie miał nic przeciwko temu, by mówić do niego na "ty" i sprawiał wrażenie bardzo wyluzowanego. Przez półtorej godziny dzielnie odpowiadał na nasze pytania. Spotkanie z Krzysztofem Grabowskim, Grabażem, liderem zespołów „Pidżama Porno” i „Strachy Na Lachy” zakończyło się rozdaniem autografów i zrobieniem kilku pamiątkowych zdjęć.

Anna Starczewska

TeXT: Z czego czerpiesz inspiracje do swoich tekstów?

Krzysztof Grabowski, Grabaż: Z wszystkiego. Wszystko może być inspiracją.

A mógłbyś podać jakieś konkretne przykłady? Na przykład patrzysz przez okno, widzisz piękną pogodę, czy to również jest inspiracja?

- Piękna pogoda może mniej. Bardziej inspirująca jest brzydka pogoda. Wszystko zależy od nastroju. Czasem można wykrzesać z siebie rzecz pozytywną, albo rzecz krytyczną.

Zawsze nurtowało mnie, co inspirowało cię w pisaniu tekstu pt. „Dziewczyna o chłopięcych sutkach”?

- A co dla ciebie było na przykład?

Dla mnie było to coś związanego z miłością. Ale chciałabym wiedzieć co to było dla ciebie. Co autor miał konkretnie na myśli?

- Wiele rzeczy nałożyło się na tę piosenkę. Chociażby mit o słynnej górze Ararat, na której wylądował Noe ratując się przed potopem. Także mit o Adamie i Ewie. W jednej piosence jest tyle różnych śladów, że to się w głowie nie mieści. Z kolei punktem wyjścia było to, że skojarzyłem sobie kobiece sutki z groszami czeskimi i bułgarskimi. Później mistrz usiadł i posklejał to wszystko do kupy.

Teksty piosenek są to krótkie utwory. A myślałeś kiedyś o napisaniu powieści?

- Absolutnie nie. Dużo łatwiejszym zadaniem jest napisanie piosenki. Bardzo nie lubię siedzieć w czytelnich, bibliotekach. Jeśli chciałbym taką książkę napisać, musiałbym się do tego gruntownie przygotować i postudiować, żeby nie wpuścić się w maliny. A teraz nie mam na to czasu. Swoją autobiografię pisałem dwa lata. Był to straszny wysiłek, w przerwach między wyjazdami. Trzeba wam wiedzieć, że trzykrotnie okrążam kulę ziemską, koncertując w tym kraju tylko.

Skoro inspiracją może być wszystko, to dlaczego zdarza się, że czasem przez kilka lat nie możesz nic napisać?

- Każdy twórca ma momenty takiego zablokowania się. Te momenty nawarstwiają się wraz z wiekiem. Kiedy człowiek był młody, to miał więcej czasu. Na wszystko miał czas. A poza tym nie miał tych doświadczeń, które ma ma człowiek w moim wieku. Podejrzewam, że tego co mógłbym napisać, jak byłem młody, teraz nie byłbym w stanie.

Żałujesz czegoś co kiedyś napisałeś?

- Żadnej rzeczy, z wyjątkiem może jednej. Kiedyś, jeszcze w akademiku napisałem słowa do piosenki „Fucking in the church”. Jest skandalicznie słaba. Chociaż jako rock’n’rollowa, punkowa piosenka spełniała swoją rolę. Gdybym miał taką możliwość i mógłbym wymazać to ze swojej twórczości, to na pewno bym to zrobił.

Wspominałeś, że nie lubisz spędzać czasu w czytelnich i bibliotekach. Czy to oznacza, że nie lubisz czytać książek?

- Lubię czytać książki, ale robię to w domu. I to te które sobie wybiorę, a nie te które muszę.

Masz czas na czytanie książek?

- Oczywiście. Wieczorami i w wakacje. Zawsze zbieram sobie takie lekkie książki i odkładam na półkę mówiąc: „To będę czytał na wakacjach”.

Uważasz, że czytanie w obecnych czasach ma sens? Czy według Ciebie inne media nie wypierają książek?



- Myślę, że mogą wypierać. Ale jest to raczej w waszym pokoleniu. Ludzi w waszym wieku, ewentualnie nieco starszych, książki palą w ręce. Wolą sobie wszystko zrobić na kompie, natomiast ja jestem w tej mierze tradycjonalistą. Uważam, że nic nie zastąpi książki, którą trzyma się w ręku. Naprawdę uwielbiam czytać książki. W tym roku przeczytałem już chyba ze dwadzieścia.

Tytuł książki, którą ostatnio przeczytałeś?

- Obecnie czytam książkę o życiu Johna Lennona. A wczoraj skończyłem książkę Nicka Hornby „Juliet, Naga”.

Czy właśnie w taki sposób spędzasz czas wolny?

- Nie lubię czasu wolnego. Jest dla mnie źródłem depresji. Najlepiej czuję się wtedy, kiedy pracuję, kiedy coś robię.

Ale żeby się nie nudzić, co oprócz czytania najbardziej lubisz robić? Na przykład kiedy jesteś zmęczony po koncercie?

- Po koncercie zawsze idę spać. Nie mam siły na czytanie, czy też oglądanie filmu. Zazwyczaj jest już późno, a następnego dnia trzeba wyjechać do innego miasta, zagrać kolejny koncert. Kiedy zespół był w zawieszeniu trafiłem do psychologa. Zdiagnozował on u mnie syndrom wolnego czasu. Spytał mnie, co najbardziej lubię robić. Odpowiedziałem mu, że najbardziej lubię pisać piosenki i śpiewać. Kazał mi wrócić do muzyki, ponieważ w tym czuję się najlepiej. Jestem takim człowiekiem, który najlepiej czuje się wtedy, kiedy działa.



Muzyka jest jedyną rzeczą jaka cię interesuje. Może jakiś sport? Piłka nożna? Lech Poznań?

- Jak najbardziej. Kiedyś czynnie, teraz tylko i wyłącznie biernie. Mam w domu telewizor i wszystkie możliwe dekodery. I w telewizji oglądam tylko jedną rzecz – piłkę nożną.

Poza piłką nożną są jeszcze jakieś sporty, którymi się interesujesz?

- Nie. Tylko piłka nożna. Kiedyś interesowałem się całym sportem. I miałem na ten temat ogromną wiedzę. Gdy pracowałem w radiu „S”, przez 10 lat prowadziliśmy z Arkiem Frąckowiakiem konkurs sportowy. Ludzie do nas dzwoniли, myśmy ich przepytawali, ale był taki punkt programu, że człowiek losował pytanie i jeśli dobrze odpowiedział, mógł nam zadać pytanie. Jeżeli zagiął nas, znalazł pytanie na które nie znaleźmy odpowiedzi to dostawał podwójny punkt. A jeśli nie, to odpadał z konkursu. Przez długi czas udawało nam się w tej kategorii wygrywać. Chociaż dzwoniли do nas naprawdę wielcy kibice, znawcy sportu. Ale muszę się pochwalić, że byliśmy nienajgorsi.

Zawsze interesowało mnie dlaczego postanowiłeś nagrać własną wersję utworu „Czarny chleb i czarna kawa”. W końcu jest to bardzo stara piosenka...

- Ja z tą piosenką spotkałem się pierwszy raz na koloniach. Ktoś zaśpiewał tę piosenkę i bardzo mi się spodobała. Zakładając „Strachy na Lachy” 10 lat temu i gromadząc repertuar, szukaliśmy też takich piosenek, które znają wszyscy, a niekoniecznie zostały one utrwalone w jakichś profesjonalnych wersjach. Jedną

takich piosenek była właśnie „Czarny chleb i czarna kawa”.

Skąd zrodził się pomysł na stworzenie coverów utworów Jacka Kaczmarskiego?

- Ta myśl bardzo długo we mnie dojrzewała. Kiedy studiowałem, nie lubiłem Jacka Kaczmarskiego. Nie podobały mi się jego piosenki, nie podobała mi się jego obyczajowość, ta cała otoczka związana z tzw. Ruchem Piosenki Studenckiej. Na początku podchodziłem do niego z dużym dystansem. Natomiast kiedy dowiedziałem się o jego chorobie, strasznie zacząłem mu kibicować, zagraliśmy nawet kilka koncertów na jego rzecz. Niestety później nadeszła wiadomość, że Jacek przegrał walkę z rakiem. Był to dla mnie straszny cios. Kibicowałem mu, więc odczuwałem żal, że nie wygrał tej walki. Kiedyś przygotowując koncert na „Dni Pyrylandii” zaproponowałem, że zagramy „Mury”, czyli tę najślawniejszą piosenkę, do której słowa napisał Kaczmarski. Ludzie to podchwycili. Parę osób, które tej piosenki słuchały, zaczęło mnie namawiać, żebym przygotował więcej piosenek Kaczmarskiego. Poza tym wpadłem akurat w okres, w którym nie byłem w stanie wymyślić żadnej piosenki, była to więc dobra okazja, aby spróbować wyrazić coś słowami, które ktoś już przede mną wymyślił.

Wiele osób zachwyciło się twoją interpretacją piosenek Kaczmarskiego. Natrafiłeś również na negatywne opinie?

- Obojętnie co robisz w życiu, zawsze znajdą się ludzie, którzy ci przyklasną, ale znajdziesz również takich, którym nie będzie się to podobać. To naturalna kolej rzeczy. A żyjemy w czasach, w których właściwie każdą rzecz można na bieżąco skomentować. Chcąc nie chcąc trzeba się z tym liczyć. Są pochwały, ale częściej przychodzą momenty, w których zostajesz zrównany z ziemią. W przypadku płyty z utworami Jacka Kaczmarskiego spotkało nas wiele negatywnych recenzji. Byłem pewien, że nagrałem swoją najlepszą płytę,

myślałem, że wszyscy padną na kolana. Niestety nie wszyscy padli. Przeżyliśmy to strasznie. Ciężko było się z tym pogodzić.

Jak radzisz sobie z negatywnymi opiniami na swój temat?

- Coraz lepiej. Nikt nie lubi, kiedy się go nie lubi. Ja z tym nielubieniem zawsze dawałem sobie radę. Jestem generalnie osobą, którą trudno polubić. Przez długi czas byliśmy pupilkami mediów. Ale kiedy stwierdziliśmy, że z bycia legendą nie da się, ani wyżyć, ani normalnie funkcjonować, zaczęliśmy robić to coraz bardziej zawodowo. A to pociągnęło za sobą coraz większe tłumy na koncertach, lepszą sprzedaż płyt, większą obecność w mediach. W końcu staliśmy się własnością publiczną.

Jak to jest stać na scenie i śpiewać do tłumu ludzi?

- Musiałbyś sam wejść i zobaczyć. Jest to trudne do opisanego. Każdy koncert jest inny. Czasami jeśli zachodzi super reakcja między sceną, a publicznością, są to absolutnie magiczne momenty. Osiąga się stan ziemskiego absolutu. Dochodzisz do punktu, w którym jesteś w stanie zrobić wszystko. Ale są też takie występy, kiedy modlisz się, aby z tej sceny wreszcie zejść. Kiedy na przykład śpiewasz jakiś kawałek, a publiczność kompletnie tego nie rozumie. Każdy koncert ma swoją historię. Czasem koncert, który zaczyna się fantastycznie, kończy się fatalnie. Lub na odwrót.

Czyli najważniejsza jest interakcja między wykonawcą, a publicznością?

- Bez tej interakcji nie ma koncertu. Możesz zagrać super profesjonalny koncert, a ludzie tego nie podchwycą. Ale zdarzało się także, że graliśmy fatalnie, nikt nie był w formie, a ludzie bawili się świetnie, tworzyli całą atmosferę. Koncert to jest wydarzenie, które odbywa się tu i teraz. Nie da się tego przenieść. Dlatego jestem przeciwnikiem płyt koncertowych. Dobry koncert zależy w 60 proc. od publiczności, a w 40 proc. - od wykonawców.



Czy odczuwasz tremę na scenie?

- Czasami. To jest zupełnie irracjonalne. Bywa, że jestem w spięty przed koncertem kameralnym przed 150 osobami, a czasem gram dla 40 tys. ludzi i nie ma to dla mnie jakiegoś większego znaczenia. Wiadomo, że zawsze jest taka obawa, czy to wyjdzie dobrze, czy niedobrze. Ale coraz lepiej sobie z tym radzę.

Jak objawia się taka trema? Może zapominasz tekstu?

- Nie, nie. Wtedy głos wydobywa się jakby nie w taki sposób, w jaki powinien. Czasami jest tak, że się człowiek po prostu zablokuje. Albo nic nie mówi, czyli ogranicza się tylko do zapowiadania kolejnych piosenek. Nigdy nie układam sobie tekstów, które mówię na koncertach między piosenkami. Czasem mam dzień, kiedy trwa to dłużej niż sam koncert, ale bywa też tak, że nie mówię nic.

W takim razie gdzie tobie gra się najlepiej?

- Nie ma takich miejsc. Koncert koncertowi jest nierówny. Czasem można się spodziewać fajnych koncertów w różnych miejscach, gdzie np. zagrasz trzy razy pod rząd fantastyczny koncert, a potem przychodzi ten czwarty, gdy ludzie są w innym nastroju. Więc nie generalizowałbym. Chociaż - gdybym naprawdę miał wskazać jedno miejsce, w którym gra mi się najlepiej, to chyba byłaby to Warszawa.

Czy często zdarza się, że jeden z członków zespołu jest niedysponowany, na przykład zachorował? I jak radzicie sobie w takich sytuacjach?

- Jeśli jest tylko przeziębiony, to nie ma bata. Na scenę i grać. Wojciech Waglewski powiedział kiedyś, że muzyk jest jak wojownik. Nie może poddawać się krótkotrwałym słabościom. Dla niego najważniejszym zadaniem jest to, żeby wyjść i zagrać. Ja się z tym punktem widzenia całkowicie zgadzam. Grałem już koncerty z zapaleniem krtani. Brałem jakiś zastrzyk i wychodziłem na scenę. Kozak grał na gitarze ze złamanym palcem.

W zeszłym roku mieliśmy poważny problem. Drugi gitarzysta „Strachów” oprócz tego, że jest muzykiem, pracował jako stolarz. Są to dwa wykluczające się zawody, o czym mu wielokrotnie wspominałem. W końcu przyszedł dzień, kiedy wsadził palec tam gdzie nie trzeba, i stracił ten palec. Całe szczęście, że szybko mu go przyszyli. Po tym wydarzeniu zrezygnował ze stolarstwa. Graliśmy nawet kiedy nasz basista był po radioterapii i po chemioterapii. To granie przynosiło mu największą motywację. Był tak słaby, że nie był w stanie utrzymać gitary. Więc siedział. A skoro on siedział, to myśmy też postanowili usiąść. Przez dwa lata koncerty „Strachów” przeprowadzaliśmy na siedząco.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że zmieniło się twoje podejście do piosenki „Piła tango”. Że nie czujesz już tego, co czuleś śpiewając ją kiedyś...

- Może dlatego, że teraz to bardziej publiczność ją śpiewa. Okrzyki „Piła tango” zaczynają się mniej więcej od trzeciego utworu. Wiadomo, że zawsze gramy ten kawałek, ale zawsze na sam koniec. Czasem przychodzą ludzie mniej zorientowani w tym co robię i znają właśnie tę jedną piosenkę. Ale lubię śpiewać „Piłę tango”. Sądzę, że jest to dobra piosenka. Nie ukrywam, wyszła mi.

Czy jest jakiś utwór, który szczególnie lubisz śpiewać?

- Z piosenkami jest jak z dziećmi. Wszystkie trzeba kochać. Nie można jednych faworyzować, innych nie. Z jednej możesz być bardziej zadowolony, z innej

mniej, ale każdą z piosenek które napisałem traktuję jak dziecko.

Czy twój syn jest twoim fanem? Czy słucha twojej muzyki?

- Fanem bym go nie nazwał. Ale czasem słucha mojej muzyki. Jak robimy jakąś nową płytę, czasami go pytam o zdanie. Uważam, że dobrze zna się na muzyce. Jest znawcą muzyki.

Czy czytałeś mu kiedyś bajki?

- Tak jest. „Klechdy domowe”. Zbiór legend i bajek dotyczących historii Polski. Bardzo lubił ich słuchać.

W jaki sposób Grabaż spędza wakacje?

- Jadę do Chorwacji. W miejsce gdzie nie ma zbyt dużo Włochów, Niemców, a tym bardziej Polaków. Stawiam sobie łóżeczko plażowe z widokiem na morze, na góry. I się opalam. W Chorwacji zobaczyłem już prawdopodobnie wszystko, co tam jest do zobaczenia. Od momentu kiedy nasyciłem swoją ciekawość pięknymi widokami, zabytkami, teraz jadę tam po prostu odpocząć. Absolutny relaks. Leżę, czytam książki. Dokładnie to, na co nie mogę sobie pozwolić w czasie pracy. Wyjeżdżam z rodziną. Wtedy mogę z nią spędzić trochę więcej czasu.

Czy improwizujesz podczas nagrywania płyt i podczas koncertów?

- W studiu ciężko jest improwizować. Aczkolwiek zdarzały się takie momenty. W utworze „Radio Dalmacja” końcówka jest zupełną improwizacją. Żeby zagrać to tak samo na koncertach, musiałem się tego po prostu nauczyć. Końcówka utworu „Łazienka” również jest improwizacją. A na koncertach ciężko jest improwizować, ponieważ wiele utworów gramy z podkładami. Takimi pół-playbackami. Po prostu są rzeczy których, nie jesteśmy w stanie zagrać na koncercie, np. trąbki. Jednak praca w zespole wymaga tego, aby się trzymać aranżu.

Co zamierzasz robić dalej ze swoją karierą?

- Czasem myślę, że to już nie to samo. Nachodzi mnie jakaś taka niezbyt miła refleksja, impulsy bardziej dołujące, niż budujące. Zaczynam się zastanawiać nad

swoim życiem. Pamiętam jak Muniak Staszczuk miał taki moment, że zamierzał skończyć ze swoją karierą, wtedy Kazik Staszewski wysłał mu sms-a: „Wiem, że jest ci źle. Mi też jest ciężko, ale jesteśmy nielicznymi ludźmi, którzy mogą robić to, co lubią i jeszcze się z tego utrzymują”. Z kolei kiedy mnie to dopadło, wtedy Muniak zadzwonił do mnie i powiedział mi to samo, co Kazik napisał jemu. Natomiast czy ja to będę chciał robić dalej, to nie zależy tylko ode mnie. Wiele zależy od tego, w jaki sposób ludzie będą do tego podchodzić.

A kim chciał zostać mały Krzysiu? Zanim został Grabazem.

- Na początku chciał być piłkarzem. Grać w reprezentacji Polski. Na dobrą sprawę jest to moje jedyne niespełnione marzenie. Niestety byłem za cienki na dostąpienie tego zaszczytu. No i zaraz potem przyszedł rock'n'roll. Byłem wtedy w szóstej klasie. Jak zobaczyłem co się działo na koncertach „The Beatles” stwierdziłem, że też tak chcę.



Co sądzisz o odbiorcach swojej muzyki?

- To jest temat rzeka. Gdyby nie było ich, nie byłoby mnie. Artysta istnieje wtedy, kiedy ma odbiorców. Mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy są z nami. Przychodzą na koncerty, wspierają nas, kupują płyty. Po prostu bez nich nie byłoby nas.

Rozmawiali: Anna Starczewska, Łukasz Fiałkowski, Nikolina Lisiecka, Agnieszka Jarosz, Antonina Mańkowska i Justyna Kalińska

*Zdjęcia: Nikolina Lisiecka
i Łukasz Fiałkowski*